

Wojciech Bauer

ODSTRZAŁ

Nie wyglądał na pedała. Wręcz przeciwnie. Zmęczoną twarz pokrywał bujny, zmierzwiony zarost, a spod obszarpanych mankietów wyzierały czarno owłosione przeguby. A jednak impuls gb kłuł w ciemieniu i nie sposób było pomylić go z innym. Wciśnięty w kąć betonowego ogrodzenia nawet już nie skamlał, tylko bezmyślnie gapił się w wylot lufy. Wyglądał dosyć śmiesznie, gdy sztucer przybliżał się do jego twarzy i źrenice, jak przykute niewidzialną siłą, zbiegały się do nasady nosa, nie mogąc oderwać się od hipnotyzującego widoku otworu pełnego ciemności.

Zabawa stawała się nudna. Ostatni raz cofnąłem lufę i pociągnąłem za spust. Odrzut szarpnął ramieniem, głowa homoseksa eksplodowała jak wypełniony krwisto-szarą miazgą arbuz. Kaliber 13 mm to nie żarty.

Patrzyłem, jak osuwa się po murze, zostawiając na nim czerwony ślad; gdyby nie ściana, impet wystrzału odrzuciłby ciało na dobrych kilka metrów. Trochę było mi żal, że nie strzeliłem go, zanim ukrył się w tym kącie. Komiczny widok podrywanego przez kulę truchła zawsze mnie bawił. W ogóle – teraz, gdy było już po wszystkim, łowieckie podniecenie zmieniało się w uczucie zniechęcenia. Kopnąłem leżącego i nie troszcząc się nawet o myśliwskie trofeum, ruszyłem w stronę ulicy. Byłem zły. Yensowi nie udało się załatwić zezwolenia na intelekt. Tłumaczył się okresem ochronnym, ale podejrzewałem, że go po prostu nie stać na przestrojenie gb i z bezinteresownej zawiści wyłgał się od przysługi. Bo jakby to było, gdyby on, wielki Yens, musiał zadowolić się kryminami, pedziami i inną drob-

nicą, podczas gdy jego przyjaciel poluje na grubszą zwierzynę, i to z Yensa poręki.

Yens był osobistością wpływową, co dziwnie kontrastowało ze stanem jego konta. Dzięki tym wpływom ciągle jeszcze należał do klubu i czasem nawet udawało mu się wyżebrać ciekawe zezwolenie. Żerowałem cynicznie na tych jego możliwościach, bo choć finansowo powodziło mi się znacznie lepiej, atrakcyjniejsze odstrzały załatwiano się głównie przez odpowiednie znajomości. Jeżeli oczywiście chciało się utrzymać koszta w granicach właściwej tabeli taryfikatora. Czasem jednak, tak jak ostatnio, Yens buntował się w przebiegu prawdziwego skądinąd poczucia wykorzystywania go przeze mnie.

Zbliżał się szczyt sezonu. Za kilka dni należało spodziewać się nowego wykazu odłowów. Stare wygi, jak ja, ostrzyły sobie zęby szczególnie na listę strzelań jednorazowych, wiedząc, że na ogólnej wielkich zmian nie będzie. Ot, drobne różnice w powierzchni obszaru czy zakresie niektórych grup. Tam zaś propozycje bywały zaskakujące. Dlatego cała czołówka klubu na długo przed godziną „zero” emocjonowała się spekulacjami na ich temat. Przyjmowano nawet zakłady. Tak bawili się przeważnie świeżo upieczeni łowcy pierwszej klasy; tacy jak ja gardzili tym sposobem rozrywki, z zimną krwią, przynajmniej na pokaz, oczekując wywieszenia list.

Trzeba będzie jak najszybciej zrobić dokładny bilans konta. Yens Yensem, ale koszty, nawet według taryfikatora, z pewnością będą znaczne. Jak dotąd nie mogłem zdobyć się na zakup gb z automatycznym strojeniem, choć jednorazowe opłaty za przestrajanie dawno już pokryłyby jego cenę. Ale to zmusiłoby do zaciśnięcia pasa i rezygnacji z przynajmniej jednego sezonu. Na takie poświęcenie nie było mnie stać. Polowanie jest jak narkotyk – raz spróbujesz i nie możesz przestać. Tym bardziej, że zachodziła obawa wypadnięcia z obiegu. Potem nawet Yens mógłby mieć trudności.

Postanowiłem zajść do cerkwi. Nie żebym odczuwał jakąś szczególną potrzebę. Wyznanie odziedziczyłem po przodkach i byłem przywiązany do tej tradycji, choć dawno zatarły się granice między religiami, a większość ludzi stanęła w połowie drogi między, że tak powiem, ideą a materią. Mnie pociągała podniosła atmosfera nabożeństwa i przepych wnętrz. No i przede wszystkim pieśni. Słuchając ich, nie musiałem nawet modlić się, zresztą chyba bym już nie potrafił, bez tego czułem, jak moja dusza łączy się z Bogiem. Tak, byłem religijny. Cała moja rodzina, jak sięgnę pamięcią, była taka. I choć dziś może to trącić myszką, od czasu do czasu odczuwam potrzebę złączenia się z tą garstką wiernych kanonom prawosławia. Taki, genetycznie chyba zakodowany, nakaz ducha.

Z kaplicy wyszedłem odnowiony, jak po odświeżającej kąpieli, i zaraz za progiem natknąłem się na Yensa. Speszył się na mój widok. Chciał nawet udać, że mnie nie widzi, ale zastąpiłem mu drogę. Od razu spostrzegłem przyczynę: przy pasie dyndał mu, bezskutecznie zakrywany, długi, smukły palec.

Zatkało mnie. Drań załatwił sobie taki rarytas! Choć złość ściśnęła mi gardło, zdołałem wykrztusić, nadając nawet głosowi pozory obojętności:

- Pianista, co? Niezła sztuka.

Yens spojrzał na mnie spode łba i zmieszany burknął:

- Taa... Wczoraj robili remanent i znaleźli jedno niewykorzystane zezwolenie z ubiegłego sezonu. Akurat byłem w klubie i sam wiesz, przypadek...

- Przypadek, mówisz. Niech ci będzie przypadek. Że też takie przypadki nie zdarzają się na przykład mnie.

- Naprawdę, Burt, uwierz mi – w oczach Yensa była sama przymilność. – Chciałem załatwić i tobie, ale mieli tylko jedno. Zresztą już byłeś w terenie.

- Intelktów też nie mieli? – spytałem z niewinną miną.

- Burt, nie łap mnie za słówka. Jesteśmy przyjaciółmi, nie? Gdybym mógł, to bym załatwił. Zresztą wcale nie mam obo-

wiązku kombinowania ci odstrzałów – obudziła się w nim nagle godność. – Jeśli chcesz, poszukaj sobie kogoś innego.

- A na koks sprzedasz strzelbę? – Widziałem, że trafiam. Yens był uzależniony i jedynie ja o tym wiedziałem. Wiedziałem i finansowałem, ze wspomnianych już względów. Pasożytnictwo obopólne, czyli negatywna symbioza. Ciekawe, i nierzadkie, zjawisko przyrodnicze.

- Wiesz – zmienił temat – słyszałem w klubie, że szykują nielichę niespodziankę na ten sezon. Nigdy nie zgadniesz – zawiesił głos, czekając na oznakę zainteresowania. Nie doczekał się. Kontynuował więc, z lekką nutką zawodu:

- Na liście ma być odstrzał... policaj!

No, no... efektownie zagrał. Nie mogłem powstrzymać gwizdnięcia.

- Uzbrojonego policaję, rozumiesz? – szedł za ciosem, nie pozwalając mi ochłonąć i wrócić do obojętnej pozy rutyniarza. – Jako trofeum: służbowy promiennik i znaczek. To będą łowy!

- Żadna sztuka wypatrzeć mundurowego – usiłowałem zlekceważyć informację, lecz wiedziałem już, co odpowie.

- Nie mundurowego, tajniaka! – spojrzał na mnie z triumfem.

- Czy wiesz, ile będzie kosztować zezwolenie? Nie mówiąc już o karcie przestrojenia gb. Stać cię na to, że się tak podniecasz?

- Słuchaj – zniżył głos do szeptu. Poznałem niedawno jedną szyszkę z zarządu. Jesteśmy nawet po imieniu, wiesz, jak jest: impreza, drinki... Właśnie obiecał mi załatwienie specjalnego zezwolenia, rozumiesz, ma swoje źródła, zresztą oni potrafią tak manipulować taryfikatorem, że za indywidualny odstrzał płacisz jak za byle śmieć.

- Załatwisz dwa? – chwyciłem przynętę.

- Jasne, czego się nie robi dla przyjaciela. Tylko trzymaj język za zębami, lepiej, żeby zbyt wcześnie nie rozeszło się po klubie, bo będzie chryja.

- No, Yens, za to należy ci się kolejka. Ja stawiam.

Z baru wyszliśmy wspierając się nawzajem. Mogliśmy sobie na to pozwolić, od dwóch sezonów obowiązywał zakaz strzelania pijanych, a prawdopodobieństwo, że ktoś zachomikował dotąd zezwolenie, było niemal żadne. Owszem, mogło być atrakcyjne coś takiego, co udało się dziś Yensowi, ale pijacy to drobiazg niewart zachodu i ceny przedłużenia karty. Szliśmy więc, zataczając się w poprzek ulicy, rycząc i śpiewając stare łowieckie pieśni. Patrol mundurowych zmierzył nas bacnym spojrzeniem, lecz nie zatrzymał, chociaż z trudem udało mi się przyhamować głupie uwagi Yensa na temat ich kumpli po cywilnemu. Przyjdzie czas, dowiedzą się sami.

W pijanym widzie przez pół nocy odprowadzaliśmy się nawzajem, nie mogąc zdecydować się, który najpierw ma przestać. W końcu Yens padł pierwszy. Z wysiłkiem zataszczyłem go do mieszkania i rzuciłem na kanapę. Nie przypuszczałem, że ta chudzina tyle waży. Zanim ostatecznie zapadł w sen, umówiliśmy się na pojutrze. Według informacji Yensa, wykaz powinien już wisieć.

Nie pamiętam, jak doszedłem do domu. Obudziłem się na dywanie, gdy słońce zaglądało już przez okno pokoju. Okno mam od południowego zachodu, musiało więc być już późno. Coś strasznie uwierało mnie w potylicę. Podniosłem się, klnąc z bólu w zdrętwiałym karku. No tak, spałem na sztucerze. Powlokłem się do łazienki. Zimny prysznic złagodził nieco skutki przepicia, ale nadal myślało mi się trudno. Wystarczyło jednak, bym zdał sobie sprawę, że już dziś nie zapoluję. Jeden dzień zezwolenia diabli wzięli, chociaż było wystawione na tak marny cel. Ale łowiectwo to nałóg, wspominałem już, zdaje się.

W sumie to dobrze, że przespałem ten dzień. Zrobiło się bliżej jutra. A jutro... Dostałem gęziej skórki na wspomnienie rewelacji Yensa. Stary narkoman miał rację, będą polowania, jakich nie bywało. Do tej pory zwierzyna mogła szukać szansy w sprycie i szybkości albo – co cwańsi, w rodzaju intelektów – w próbach blokady impulsu. Teraz możliwości się wyrównają,

zwłaszcza po pierwszych polowaniach, gdy zorientują się, w czym rzecz. Jeśli Yens miał dobre źródło, będzie to szlagier sezonu, niezależnie od tego, co jeszcze zawiera lista. To już tradycja, co roku trafiała się na jednorazówce taka perełka.

Z nudów postanowiłem sprawdzić gb. Operacja zdjęcia elektrod była dość bolesna, wymagała również skupienia. Musiałem skoncentrować mój zmaltretowany umysł na tej czynności, co pozwoliło pozbierać się wśród objawów kaca. Wydłubawszy ze skroni ostatnią „weskę” – maleńki, podskórny czujnik impulsów – zmontowałem całość na analizatorze. Teoretycznie powinienem mieć zaufanie do stroiciela, ale mój gb był dość wiekowy i wołałem od czasu do czasu upewnić się sam.

Cholera, intuicja mnie nie myliła. Wskaźnik dobiegał do optimum, lecz go nie osiągał. No tak, ten wczorajszy homoś... Pamiętałem, że wyglądał podejrzanie. Należy koniecznie wymienić gb jeszcze przed szczytem sezonu, bo parę takich pomyłek i odbiorą mi licencję. A na drugi rok obowiązkowo zrobię sobie przerwę i nazbieram na automat.

Wzrok zahaczył o ikonę. Machinalnie przeżegnałem się szybko, trzykrotnie, jak dziadowie. Miałem nadzieję, że Bóg mi odpuści, ostatecznie tylko on jest nieomylny. Zresztą ten strzelony też nie był zupełnie czysty, inaczej gb nie dźgnąłby mnie impulsem. Nawet niesprawny.

Podszedłem do barku i nałałem sobie solidnego klina. To najlepsze, na kaca i na skrupuły.

Termin wywieszania wykazu nigdy nie był ogłaszany publicznie, mimo to jakieś przecieki w stylu Yensa musiały istnieć, bo w klubie kłębił się spory tłumek ciekawskich. Yens też już tam był i z daleka kiwał na mnie ręką. Przepchnąłem się ku niemu odpowiadając zdawkowo na pozdrowienia znajomych.

- Cześć, Burt. – Jego wzrok błyszczał podnieceniem i chyba nie tylko. – Listy jeszcze nie ma, ale lada moment powinni wywiesić. Rozmawiałem już ze znajomym, wiesz, którym.

Możemy być pewni zezwolenia i to po cenie krymina! Jeśli tylko resort zatwierdzi wykaz. Ale to prawie murowane, minister też jest w zarządzie. Byłeś wczoraj w terenie? – Przeskoczył na inny temat z właściwą sobie beztrąską.

- Nie. – Przez chwilę zastanawiałem się, czy powiedzieć mu o gb. Lepiej jednak nie, przyjaźń też ma swoje granice. – Cały dzień leczyłem kaca.

- Ja też, chociaż miałem zamiar trochę pokłusować na kryminy – szepnął konfidencjonalnie. – Nie mam zezwolenia, rozumiesz, ścibolę na grubszego zwierza.

Otaczający nas tłumek zafalował. Grupka dostojnie wyglądających mężczyzn przepychała się w stronę tablicy ogłoszeń. Doceniłem spryt Yensa, mieliśmy ją za plecami. Po chwili zrobiło się wokół nas tak tłoczno, że gdybyśmy stali dalej, musielibyśmy długo czekać na swoją kolejkę.

Pierwszą listę przejrzałem pobieżnie. Jak przypuszczałem, wykaz ogólny nie wnosił nic rewelacyjnego, tyle, że na stałe wprowadzono nań telepatów. Poza tym nieznaczne skrócenie okresu ochronnego intelektów mogło mieć jakieś znaczenie. Reszta to chłam.

Jednorazówka zawierała pięć pozycji. Jako druga widniała na niej kategoria „detektywi policyjni”. Yens mówił prawdę – pomyślałem, zanim wzrok przebiegł listę do końca.

W piewszej chwili znaczenie nazwy nie dotarło do mnie. Minąłem ją obojętnie i dopiero później jakaś klapka w mózgu otworzyła się we właściwym miejscu. Stałem i patrzyłem. Czułem, jak po fali zaskoczenia oblewa mnie obezwładniający strumień strachu. Jak zza ściany słyszałem zadowolony głos Yensa:

- Zapolujemy sobie, co, Burt? Zapolujemy!

A ja drętwo wpatrywałem się w pozycję oznaczoną numerem 4. Za tą malutką cyferką jednaście liter składało się w wyraz, który ustawiał mnie w zupełnie innej roli. Za tą malutką cyferką było napisane: „prawosławni”.

Pozbyłem się paniki. Czuję, że gdybym teraz zobaczył swoje oczy, miałbym w nich taki sam wyraz, jak ten, który już tyle razy widziałem z przeciwnej strony. Ale tu nie ma lustra. Siedzę za starymi skrzyniami po owocach i wdycham smród zgnilizny i własnego potu. Pocę się strasznie.

Ile czasu uciekam? Wciąż wydaje mi się, że ledwie wczoraj zobaczyłem listę. Musiało go upłynąć znacznie więcej, bo jestem potwornie zmęczony. Już obojętnie wspominam pierwsze chwile w mym dawnym mieszkaniu, gdy w odruchu przerażenia podarłem ikonę i wrzuciłem do sedesu krzyżyk po ojcu. Przestał być relikwią, stał się trofeum. Było to nierozsądne, pozbawiłem jedynie łowców pamiątki. Gb rzadko zawodzi. Lecz rozsądek był ostatnim uczuciem, którym mógłbym się wtedy kierować. Na pierwszy plan wydostał się instykt. Może, gdybym przez chwilę spokojnie pomyślał, znalazłbym jakieś wyjście. Ostatecznie odstrzał jednorazowych nie trwa długo i dotrwałbym do końca sezonu. Dobrze mieć choć nadzieję. Zgubiły mnie nawyki z drugiej strony barykady. Jak spłoszony szczur odruchowo zapadłem w teren. A przecież to właśnie ja powinienem wiedzieć, że z pewnością tam łowcy rozpoczną penetrację. I stało się. Przez kilka dni udawało mi się wymykać prześladowcom, ostatecznie miało się trochę wprawy. Kilku nawet położyłem, nim skończyły się naboje. Ten ostatni jest chytry, nie dał się nabrać na żadne moje sztuczki, widać wie tyle, co ja. Zaś sobie nie potrafiłbym się wymknąć.

Siedzę więc w kącie piwnicy, do której mnie zagnał, i słucham jego wolnych kroków na schodach. Jest ostrożny, pewnie słyszał, że mam broń. Nie wie, że ostatni pocisk zużyłem w Garwortha – młodzika z koneksjami, któremu pewnie tatuś załatwił zezwolenie. Siedzę i słucham. I modlę się, żeby to nie był Yens.

Gliwice, marzec 1987